Nr. 28. We Lwowie dnia 14. lipca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

J. Słowacki: Samuel Zborowski.*)

Scena w zamku księcia Poloniusa.

OSOBY: Biskup, Bukary, później Heljon, syn Poloniusa.

Scena I.

Biskup.

Co za smętne zdarzenie! Książe stary wrócił
Zupełnie bez rozumu.

Bukary.

Duch mu się przyrzucił...

Biskup.

Jak to?

Bukary.

Jak w stare drzewo puste wlazł duch nowy...
Uważałem go, gdy pękł nagle most sosnowy,
W tym starcu była jedna chwila, błyskawica,
Że duch jego tak pierzchnął z ust jak gołębica,
A w niestrzeżone ciało mógł...

Biskup.

To przeciw wiary!
Kto Wacan jesteś?

Bukary.

Strzelec.

Biskup.

Jak imie?

Bukary.

Bukary.

Biskup.

A metryczne?

Bukary.

Na buku jest moja metryka.

Biskup.

Jakto? Nie chrzczony jesteś?

Bukary.

Jestem spowiednika
Syn, a więc nawet nieco wyświęcon na księdza.

Biskup.

O, jak ta niereligja, ta okropna jędza,
Już nawet w lud się wkrada! Oto już lokaje
Przestają wierzyć. (*Wychodzi do pokoju Księcia*).

Bukary.

A ksiądz księdzem być przestaje,
Bo już w ducha nie wierzy. Powiedz mu: Duch rośnie,
A on to wszystko weźmie na mowy przenośnie
I powie, że to w chłopie krew rozgrzana bryka.

(Wchodzi Heljon).

Ha, Heljon!

Heljon.

Czy posłano już po spowiednika?

Bukary.

Już poszedł do sypialni.

Heljon.

O! na smętnym świecie
Żyjemy. Mnie kaskady uniosły na grzbiecie
I leciałem jakoby po tęczach wygiętych,
Słysząc śpiew gwiazd i niby głosy pańskich świętych.
Aż na kwiaty upadłem i sen mię owinął
Srebrzystemi skrzydłami. A mój ojciec...

---

*) Z nieogłoszonego jeszcze w całości dramatu Juljusza: Samuel Zborowski — który ukaże się niebawem na pułkach księgarskich — podaję znamienny wyjątek z autografu złożonego w bibliotece Ossolińskich.

Henryk Biegeleisen.

Bukary.

Płynął
Przeciw wody i rozbił o nią swój łeb stary.

Heljon.

Słuchaj — nie lubię tego tonu, mój Bukary;
Prędko się rozejdziemy, jeśli go nie zmienisz.

Bukary.

Pomieniali na duchy...

Scena 2.

(Wchodzi Książe stary, zupełnie obłąkany, za nim Biskup).

Książe.

Królu! Sam ocenisz
Moje czyste zamiary...

Biskup.

O, widok bolesny!

Ogolono mu resztę siwych włosów i pozwolono wdziać te jaskrawe kolory, które wybrała myśl jego, błąkająca się po przestworach.

Książe.

Tak, królu, w jasnych kolorach
Widzisz mię, lecz nie mieniących
Jak na wężu...

Heljon.

O! niebiosa sprawiedliwe!
Patrz, z gestem dawnego dworzanina trzyma czapkę w ręce, nisko, tykając kolan biskupich, bokiem niby zniżywszy się ku królowi, a drugą ręką na szabli głowicy.

Książe.

Jeżeli ci grzechotnicy
Nie pomrą, to Mości królu,
Oto pieczęć...

Heljon.

Patrz, z jaką dumą odwrócił się i podniósł głowę... Ojcze drogi!

Książe.

Waćpani u mojej nogi
O litość — próżno! Acani
Udaj się na mnie do prawa,
Król mi Pan tego nie zgani,
Że...

Bukary.

Cały odmienił lica
I strupiał —

Książe (kończy).

Żem ściął — szlachcica!

Biskup.

Chodzi, ręce założył w tył i czasem stawa.
O czem on myśli? Dziwna, straszna tajemnica...

Bukary.

Cudze, krwawe sumnienie w nim siedzi.

Książe.

Mówisz, że odmówiłem ostatniej spowiedzi,
To nieprawda! Kazałem przyprowadzić księdza.

Heljon.

Patrzaj, jaki gest ręki, zda się, że odpędza
Od siebie obwinienie ludzkie garści błyskiem.

Książe.

Zajechał mi w ulicy przed wielkiem ogniskiem.
W rynku smalono wieprza.... wieprza.... wieprza...
[Słoma...
Cała ulica była wtenczas tak widoma,
Jak jasny dzień. Zajechał w ognistej ulicy,
Ja zrobiłem gest taki... Ustąp! — W błyskawicy
Widzę tego człowieka — Zrobiłem gest taki...
Ściąłem go...

Heljon.

Patrz, jak wszystkie te rąk jego znaki
Piszą jakąś historję.

Książe.

A miał sen, jak słyszę,
Miał sen, co go ostrzegał — Pan Bóg snami pisze
Naszą przeszłość i przyszłość. — Miał sen, a nie słuchał,
Gdy się gdzieś z Kozakami po morzu bałuchał.
(Szelma była przed ludźmi i przed Bogiem dumna!)
Przyśniła mu się jasno kolorowa trumna —
— Słyszałem sam od chłopca Kozaka — korona
I trumna koralami wylana, czerwona,
Czerwona, za to ręczę wam duszą i ciałem,
Że czerwona, oświadczam to, bo ją widziałem.

Heljon.

O! straszliwe świadectwo...

Biskup.

Doktor mi powiada,
Że tu żadnej nadziei karmić nie wypada;
Mózg ruszony. Opuszczać go jednak nie można.
Przyszlę dwóch księży... wasza rodzina pobożna
Aż nadto zasługuje... Przyszlę wam dwóch księży.
(*Wychodzi*).

Bukary.

Zostaw mi Pan tu nad nim rząd. Niech na mnie cięży
Odpowiedzialność wszelka. Ja na siebie biorę
Chorego i tych księży. Zapewne nie chore
Będą braciszki. — Książe, każ nam przynieść wina,
Noc długa — ba i straszna.. Niech książe zaczyna
Oswajać się z tą myślą, że liść z drzewa leci,
I bez ojców na ziemi muszą zostać dzieci.

(C. d. n.)

Mikołaj I. i Królestwo kongresowe.

N. Szildier: „Mikołaj I. i Polska“.

2)

Karta konstytucyjna Królestwa kongresowego, mówiąc o związku z Rossją, zastrzegała wspólność polityki międzynarodowej, oddawała wojsko polskie na usługi tej polityki. Przypominało to czasy Księstwa. Wtedy również w gabinecie ministrów nie było miejsca dla ministra spraw zagranicznych, a książę Józef słuchać musiał rozkazów marszałka francuzkiego. Królestwo kongresowe miało więc być poprostu dalszym ciągiem Księstwa, czy to w pojęciu Aleksandra, czy w tem, że obie organizacje miały się albo rozróść, albo zginąć, czy w tem nareszcie, że istotę jednego i drugiego stanowiło wojsko. Może w tym sposobie ukształtowania sprawy polskiej, odbiła się cała jej żywotność w początku XIX w., w tem były źródła jej potęgi i słabości zarazem. Nie było tu miejsca na półśrodki, albo wszystko, albo nic. Ale jakaż różnica obu tych organizacji przejściowych! Jak gdyby miały one stwierdzać całą przepaść, przedzielającą twórców jednej i drugiej: zachód i wschód, Francję napoleońską i Rossję. Wtedy, za wielkiego cesarza — każdy krok jego polityki międzynarodowej — szedł w zgodzie z tradycją polityczną Rzeczypospolitej, z istotą naszych polskich interesów międzynarodowych. Dlatego może tak sprawną była działalność Księstwa, dlatego mogliśmy być najwierniejszym sprzymierzeńcem Napoleona. Jego powodzenia były naszemi, każde z nich musiało nam coś dać. Rok 1807 dał nam Księstwo, 1809 — Galicję, r. 1812 musiałby był dać Litwę. Bo Napoleon, czy chciał, czy nie chciał, musiał zostać przeciwnikiem Rossji, musiał poprzeć, odziedziczyć nasz z nią wieczysty antagonizm. A teraz? Każde powodzenie Rossji było zacieśnieniem pętlicy na szyi Polski, każden wróg jej — naszym sprzymierzeńcem dawnym; każden więc krok wspólny musiał być odstępstwem od naszej spuścizny dziejowej, a co za tem idzie, rezygnacją — co do przyszłości. Odstępstwo takie nietylko plamiło honor, ale zacieśniało pętlicę związku; bo w polityce pojęcie honoru narodowego — równoznacznem jest nieomal z pojęciem interesu narodowego. Że to nie jest, nie było nigdy prostem uogólnieniem, dowodził wtedy fakt, że każde współdziałanie armji naszej z rossyjską, nietylko nie mogło nam przynieść żadnego nabytku, ale groziło — zniweczeniem armji samej. Bez armji zaś — karta konstytucyjna królestwa — spadała siłą rzeczy na poziom słynnego potem — Statutu organicznego. W tem nienaturalnem sprzężeniu polityki międzynarodowej naszej z rossyjską, w tej roli, która dla armji naszej. wypływała z karty konstytucyjnej, tkwił najpoważniejszy szkopuł dla rozwoju Królestwa, cała szkodliwość dla nas koncepcji dziejowej. Na to, żeby uznać „państwowość“ rossyjską, jakby powiedzieli ugodowcy dzisiejsi, musielibyśmy wtedy zrezygnować ze wszystkiego, albo co na jedno wychodziło, stanąć na gruncie tych prawd, które rozwijał Staszic w swych słynnych „Myślach o równowadze europejskiej“. Niestety — świadomości tego nie posiadali owczesni mężowie stanu, przynieść ją miało dopiero następne pokolenie, objawić w literaturze romantycznej, w stanowisku księcia Adama. A tymczasem — zjawisko to — miało się stać bezpośrednią przyczyną tak nagłego, niespodziewanego zamknięcia karty dziejów Królestwa— przez noc listopadową. Wynikało to ze zmiany stosunków w Rossji.

Mikołaj, jako człowiek czynu, był większym realistą, trzymał się koncepcji ciaśniejszych w zakresie polityki międzynarodowej. Do pewnego stopnia twierdzić można, że Mikołaj wypełniał treścią kontury, zakreślone przez swego poprzednika, i przez to zacieśniała się koncepcja dziejowa w zwykłym stosunku życia do teorji, planów do wykonania.

Mikołaj nie miał za sobą przeszłości Aleksandra. Gdy w roku 1821 generał Wasilczikow przedłożył Aleksandrowi raport o istnieniu w Rosji rozgałęzionego spisku wojskowego, cesarz powiedział tylko: „Mon cher Wassiltschikoff! Vous qui êtes à mon service depuis commencement de mon regne, vous savez que j'ai partagé et encouragé ces illusions et ces erreurs... Ce n'est pas à moi à sevir“. Rzeczywiście po za aspiracjami roku 1801 — była mowa tronowa warszawska z r. 1818, były projekta konstytucji dla Rosji. Dlatego Aleksander przypatrywać się musiał z założonemi rękoma przebiegowi sprawy greckiej, odpowiadać nieomal milczeniem na wszelkie dalsze raporta o spisku. Jego następca mieczem rozcinał ten węzeł gordyjski, odzyskując swobodę ruchów.

Tak samo i odnośnie do sprawy polskiej. „Było wiele rzeczy takich, powie później cesarzewicz Konstanty, o których Aleksander pod koniec swego panowania — chętnieby był zapomniał, ale było za późno, istniały pewne realne prawie zobowiązania“. Ze śmiercią Aleksandra — zobowiązania te traciły swą moc, Mikołaj miał ręce wolne. Przechodząc do czynu mógł i musiał postawić sprawę na gruncie realnym, wyprowadzić konsekwencje, które tkwiły w istocie Królestwa kongresowego. Mieliśmy być sprzymierzeńcem Rosji za cenę wynagrodzenia na Litwie. Mikołaj miał zażądać dowodów przymierza: udziału wojska polskiego w swych kampaniach, co zaś do wynagrodzenia—odmawiał go stanowczo. Był praktyczniejszym, miał bliższy cel na oku. Aleksander I liczył prawdopodobnie na to, że

współudział Polaków w polityce międzynarodowej Rosji — uczyni z czasem kwestję połączenia z Litwą — kwestją platoniczną, bo wtedy oba kraje będą już organicznie spojone z cesarstwem. Mikołaj nie wierzył w możliwość tego, takie plany były dlań za mgliste, wracał więc do tradycji Katarzyny II. A więc w pierwszym rzędzie „Mikołaj, jak pisze nasz autor, nie ratyfikował mglistych obietnic poprzednika co do Litwy“. Kończyła się era obietnic i półsłówek Aleksandra I. Mikołaj chciał być szczerym, chciał przeciąć wszelkie złudzenia dalsze, chciał żeby Polacy mówili o nim kiedyś: „Je le hais, parce qu'il n'accomplit pas nos voeux, mais je l'estime, parce qu'il ne nous trompe pas“. „Nie można, pisał do Konstantego w d. 26/III 1827, zgodnie z naszą racją stanu dłużej podtrzymywać idei, których nie można urzeczywistnić. Godząc się na oderwanie Litwy — trzeba przestać być Rossjaninem“. „Litwa, pisał do brata w d. 24/X t. r., jest prowincją rosyjską, nie można jej oddawać Polakom, byłby to bowiem zamach na całość cesarstwa“. (C. d. n.)

Wacław Tokarz.

3)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

II.

Zanim przejdziemy do głównego jądra zagadnienia, czyli do wpływu alkoholu na organizm, wpierw rzućmy okiem, chociażby pobieżnie, na stan spożywania trunków wyskokowych tu u nas i u naszych sąsiadów. Co do stanu używania napojów rzeczonych w naszym kraju, to go nazwać można bez wszelkiej przesady, stanem opilstwa nałogowego. Opilstwo to daje się podzielić na dwie główne kategorje: na stałe i okolicznościowe; a te znowu rozpadają się na umiarkowane i nieumiarkowane.

Opilstwo stałe ma miejsce w klasach zamożniejszych; okolicznościowe zaś napotykamy przeważnie, u ludzi mieszkających na wsi i nie mających gotówki na każde zawołanie.

Tutaj we Lwowie co czwarta kamienica w śródmieściu, jest szafarnią trunków wyskokowych. Jeżeli jednak zważymy, że każda restauracja, każda jadłodajnia, każda sprzedaż towarów kolonjalnych, każda tutejsza, tak zwana „Grajzlerej“, czyli sklepik z wiktuałami, są zarazem i handlami piwa, wina, araków i rumu, to dopiero wtedy, zliczywszy je wszystkie, będziemy w stanie uprzytomnić sobie, jak uprzejmi są kupcy, i jak dbały magistrat o dobro naszej, wiecznie spragnionej publiczności.

W stolicy muz, w tem konserwatorjum przeszłości naszej dziejowej, nie gorzej się ma dziać z obsługą pijących i dostawą trunków. Ale trudna rada, popyt jest wielki, więc i podaż musi być odpowiednia, zresztą zmniejszenie ilości szynków, albo i zmniejszenie godzin sprzedaży, mało wpłynąć może na powściągnięcie pijaństwa; tu są potrzebne i konieczne inne środki, środki przykładu, perswazji, nauki. W Galicji obliczają na głowę ludności, włączając dzieci i kobiety, po 10 litrów wódki 50% i po 18 litrów piwa. Jeżeli jednak weźmiemy na uwagę, że żydzi stosunkowo mało piją, jakkolwiek piją regularnie i stale, i że klasy zamożniejsze raczą się zwykle winem, czyli alkoholem zafarbowanym na czerwono, albo na żółto, i z tego tylko powodu usuniętym z kategorji wódek, to na przeciętną jednostkę chrześcijańską wypadnie daleko większy procent wypitego alkoholu; a jeżeli się zważy następnie i na to, że kobiety nasze, dzięki Bogu są o wiele wstrzemięźliwsze od mężczyzn, to w rezultacie otrzymamy cyfry, co najmniej przerażające, które przypadają na głowę każdego z naszych ziomków, czcicieli Bachusa. Pracują też oni kuflem i kieliszkiem bez wypoczynku, zwykle w dymnej i smrodliwej atmosferze szynków i piwiarni, po całych wieczorach szczególniej. Dość będzie zajrzeć pod ową porę do tych lokalów wstrętnych, ażeby się przekonać, o zapale i poświęceniu, z jakimi wykonywują nasi mężowie, swe zadania codzienne, swą służbę, poświęconą przyjaźni, życiu towarzyskiemu, patrjotyzmowi i ekonomji społecznej.

Wogóle mówiąc, prawie wszyscy mężczyźni u nas i dużo, bardzo dużo kobiet niestety, bez piwa i wina żyć już nie mogą. Żaden akt publiczny, żaden obchód uroczysty, żadne zgromadzenie, nawet i naukowe, żadne przyjęcie towarzyskie, żadna nawet pogadanka po odczycie naukowym — obejść się bez trunków alkoholicznych nie potrafi. Przyczynę tego łatwo zrozumieć, albowiem tylko napoje wyskokowe mają własność znieczulania trzewi, sprowadzania zapomnie-

nia i przyćmiewania tak rozumu jak i instynktów. Dbając o dobro dzieci, nie pozwalamy im często pić herbaty, ale w przekonaniu o higienicznej działalności napojów alkoholicznych poimy dzieci piwem i winem. Lud nasz po wsiach widzi w gorzałce najwyższy specjał życiowy. Ten krótki zarys uprzytomni nam stan alkoholizmu u nas. Co do sąsiadów z zachodu, to kilka dat następujących wystarczy, ażeby na tle stosunków własnych snadnie domalować resztę. (C. d. n.)

Dr. B. Dybowski.

Włodzimierz Jarosz.

Straż pożarna.

(Obrazek wiejski).

III.

Przez dymniki, ziejące czarnemi paszczami ze słomianych strzech, wysnuwał się brudny dym i lizał omszałe, kluczami nastrzępione dachy chałup, kładł się puszystemi mgłami po wierzbach i topolach pochylonych nad potokiem, rozchodził się po sadach, dziczkami zarosłych — i znikał, wsiąkając w rosę, co obsypała srebrnemi kroplami wszystką zieleń, dyszącą rozkoszą lipcowego życia.

Z poza obłoków, rąbkiem widnokręg osłaniających, ku przeczystemu niebu wzbijało się słońce. Rzucało na chłodną ziemię snopy pieszczotliwego ciepła, a falami promieni muskając naturę, igrało z nią, jak matka czasem, co igra z dziecięciem.

Szło coraz w górę, aż poprzez sąsiednią chałupę zaglądnęło na Suchcikowe podwórko. Cień zapędziło pod okap i malowało swą złotą barwą ubity tok, wpadając skrzętnie w zaschnięte ślady stóp drobiu, wybite w błocie po ostatnim deszczu, barwiło różowo każdy kamyczek, wydobywało tęczę z każdej słomki, z każdego źdźbła siana i przeglądało się w ostrzu siekiery, wbitej w posiekany, stary pniak.

W powodzi światła, co zalewało podwórko, brodziła gawiedź, szukając żeru i z przyzwyczajenia skarżąc się żałośnie. Pstre, czarne, białe, żółte, czubate, starsze i młodsze kury, wodziły zafrasowanym wzrokiem po obejściu, zbiegały się z wszystkich stron ku jakiejś krztynie i z krzykiem, dzióbami między siebie rozdzielając szturkańce, odchodziły zrozpaczone, ażeby znów potem wpaść w smutną rezygnację.

Kupą włóczące się, a mocne, straszne kurzemu rodowi indyki odprawiały właśnie swoje komedje: rozpiąwszy ogony i rozpuściwszy skrzydła, zataczały się jak pijane, nie zważając na resztę gawiedzi — kiedy z poza węgła chałupy ukazał się sznur kaczek. Wracały z potoka, kołysząc spasione swe ciała na krótkich nogach i toczyły ze sobą kwaczącą rozmowę, do której mięszał się czasem sam kaczor, co szedł na przedzie i z długiej szyji wyrzucał zduszone, ochrypłe szastania. Kaczki szły w dziwnym porządku — a kiedy dosięgły kamienia przed drzwiami chałupy, na który zawsze gaździna ziarno sypie dla drobiu, zbiły się w kupę i podniosły krzyk.

Wołały wyraźnie, że głodne przyszły i że chcą jeść. Zrozumiały to doskonale kury – zbiegły się czemprędzej i otoczyły zbitą gromadkę kaczek — zrozumiały nareszcie, najgłupsze z gawiedzi, indyki, które pierwszy wrzask kaczek przyjęły gniewnym bulgotem — usłyszała i Suchcikowa, która też zaraz stanęła w drzwiach, trzymając w ręce przetak z pośladem i mówiąc niby zgryźliwie, ale z miłością.

— A-a... juzeście tu moje pociechy!... Że wy też nigdy nie zapomnicie o jedzeniu...

Sypała poślad pełną garścią na gawiedź, co umilkła, napychając sobie dzióby — i troskliwem okiem gospodyni rachowała, czy którego nie brakuje.

— ...dwanaście, trzynaście, czternaście... kończyła głośno przegląd kur — a tej szelmy znowu niema!...

Wtem, za stajnią, na drożynie, co w pole prowadzi, zajęczała ziemia pod ciężarem upadającego kamienia, który odbiwszy się, przeleciał w podskokach na dół, ku potokowi. Równocześnie na podwórko wpadła z krzykiem przestrachu kura i pomagając sobie skrzydłami, zaszyła się w najgłębsze zakącie obejścia.

— A tam co za odmieniec!... krzyknęła rozgniewana Suchcikowa w stronę drogi.

Z za stajni wybiegła zadyszana Rogalowa, sąsiada i kuma Suchcików. Czerwona z natury twarz baby była teraz purpurowa z oburzenia — w piersiach brakło jej tchu, a małe, tłuszczem zarosłe oczy rzucały błyski złości.

— Suchcikowa... żeby albo mnie, albo was już raz stąd wynieśli — wołała przerywanym głosem. Wstyd, żeby już ani źdźiebełka przy was nie można było utrzymać — pogańskie nasienie...

— Ta jej — kumo... opamiętajcie się... uspakajała ją Suchcikowa.

— Kumo... kumo... przedrzeźniała sąsiada – ja tam dobrze wiem, że co kum, to pies... Cały orkisz na nic... Z pierwszego zagona to nawet snopa nie będzie... a to wszystko przez waszą gawiedź... Ale jak mi Boga przy skonaniu potrzeba — tak psiakrew pozabijam wszystko. Kura nie kura... indyk nie indyk... Pozabijam – wszystko mi jedno...

— A cóż to — wasza gawiedź nie robi mi szkody, czy co?... Czy ja siedzę w kurze, żebym jej kazała leźć do waszego orkiszu?... Ja dopiero powinnam się na was skarżyć... Nie podpasł to wczoraj wasz chłopczysko łąki?... A nie wyrwał...

— A nie zaorał nam Suchcik na wiosnę miedzy?... A nie brykają wasze źrebięta po naszym owsie?... A nie...

— Tfu napaść...

— Tfu złodzieje!...

— Ty sama złodziej!..

— Joj!... małpo — złodzieju — załamała Rogalowa ręce — ta jeszcze mi złodziejami ciukasz?... Czekaj psiakrew — w kryminale zgnijesz, jak nic...

- Ouwa...

— Ty publicznico!..

— Ty pijaczko!...

Dwa zacięte głosy, rzucające wyzwiska, trzeszczały po wsi, budząc ogólną ciekawość. Ludzie wychodzili przed chałupy, podając sobie wiadomość, kto z kim się kłóci i o co — najbliżsi sąsiedzi widzieli ze swych stanowisk wszystko, jak na dłoni. Musieli także usłyszeć, że Suchcikowa nazwała sąsiadkę pijaczką. Baba naprawdę lubiła wywracać kieliszki — ale wytykać jej to, było śmiertelną dla niej obrazą.

Więc kiedy zdziwiony przydługim hałasem Suchcik wyszedł z chałupy, zobaczył, że do żywego ukąszona sąsiada biegła ku tkwiącej w pniaku siekierze.

— Jantek!... niema cię tu?.. krzyknęła wściekła Suchcikowa.

Chłop zgubił gdzieś zwykłą powolność. Rzucił się, jak dobry koń, cięty muchą i jednym ruchem wydarł kumie siekierę, wykręcając przytem jej ręce tak, że uklękła. Ze złości i strachu szalała.

— Czekaj!... wyrzucała ze siebie słowa bez związku — kryminał!... da wam mój chłop!...

— Won psiakrew!... ryczał Suchcik, wytrącając ją z obejścia — won kanalio!... won pijaczko!...

Ostatkiem tchu rzucając kmoterstwu najostatniejsze przekleństwa i groźby, odeszła sąsiada z obejścia.

A kiedy Suchcikowie, trzęsąc się z gniewu zniknęli w drzwiach swojej chałupy, z kąta, z za chlewka, wyszła na podwórko nieszczęsna kura, przyczyna całego zajścia. Obejrzała się ostrożnie, jakby przekonać się chciała, czy już naprawdę koniec kłótni — potem strzepnęła skrzydłami i podrałowała ku resztkom pośladu, gdzie dzióbiąc i roztrącając wszystko, co jej zawadzało, napychała swój wól z takim apetytem, jakby nie była w sąsiednim orkiszu i z taką swobodą, jakby nie przeważyła losów straży pożarnej. (C. d. n.)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

(Dokończenie)

Zapanowało przykre milczenie. Po upływie długiej chwili dopiero żona ośmieliła się zapytać, co mu jest? Głos jej przywołał go do przytomności. Drgnął i wyciągnął rękę po książkę.

— Przeczytaj — rzekł zaledwie dosłyszalnym głosem, wskazując ustęp we francuzkiej książce.

Ustęp ów brzmiał:

„W tej chwili wielki mistrz templarjuszów, Jakób Molay, stojąc na stosie, pod który kat podkładał już ogień, zawołał wielkim głosem na papieża Klemensa i Króla Filipa, wzywając ich obu za rok i dzień na sąd boży, jako sprawców niewinnej śmierci jego samego i stu innych braci zakonnych. I dziwy nad dziwami! Przed upływem roku odeszli do wieczności obaj: papież i król. Ten ostatni 1314 r. 29. listopada“...

Hrabina przeczytała szybko, lecz wciąż jeszcze nie podnosiła oczu z nad książki. Obawiała się spojrzeć na męża, a jednak musiała. Czuła na sobie jego zimne, zamglone źrenice.

— No i jakże, przeczytałaś? I cóż powiesz? — pytał, siląc się na zwykły uśmiech. Możesz wdowie suknie kazać szyć — umilkł nagle i przesunął ręką po czole. Nadaremnie żona starała się go pocieszyć i uspokoić.

— A możebyś chciał okazać im jakie dobrodziejstwo? - wymknęło się hrabinie dawne i serdeczne życzenie.

— Komu? Tym Chodom? Tym buntownikom? — wybuchnął Lamminger. — Ha, rozumiem! Stałaś zawsze po ich stronie...

— Ależ nie, nie im! — broniła się przerażona pani.

- Komuż więc? Komu? — nalegał z coraz większem uniesieniem.

— Sądziłam, że... tej wdowie...

— Dość!.. Wdowie po Kozinie?! Za to wszystko, co mi jej mąż uczynił?... Nie myślisz chyba, jak ci górale ciemni, że był niewinny! Wszak to wszystko jemu zawdzięczam, jego słowom szalonym! — zakończył niemal z krzykiem.

Tej nocy nie zmrużył już oka. Gdy jednak niebo się wyjaśniło i nastały słoneczne dni później jesieni, zrobiło mu się jakoś lepiej. W tym czasie przyjechała młoda hrabina z mężem i wniosła wesele pod chmurny dach ojcowski. Milczące przedtem komnaty zamkowe, ożyły gwarem licznych gości, bądź przybyłych z młodą parą, bądź zapraszanych z sąsiedztwa na łowy. Hrabina, uszczęśliwiona z córki, zauważyła z radością, że i Lamminger nie chmurzy czoła tak posępnie, jak dawniej. Owszem, rozmowny i ożywiony, brał chętny udział w polowaniu i chwalił się nawet przed zięciem, że czuje się teraz daleko zdrowszy i lepiej sypia. Córce jednak, która nie widziała go oddawna, wydał się bardzo zmieniony i mizerny. Zwierzyła się nawet z tem spostrzeżeniem swojem przed matką. Pani z Albenreuthu westchnęła.

— O drogie dziecię — mówiła smutnie — teraz jest lepiej, boście mu przywieźli zdrowie. Ale wpierw nie jedną gorzką miałam chwilę. Samotność, odosobnienie od ludzi i melancholja nasuwały mu nieraz myśli dziwne..

— O tak, i słowa dziwne — podchwyciła córka. — Wczoraj naprzykład, gdy się wybierano do lasu, mówił do mego męża: „Dziś mamy pierwszy dzień listopada. A więc doczekałem się nareszcie tego miesiąca, a skorom się doczekał..' Sądzę, że ów“... — i nie skończywszy zdania, wybuchnął śmiechem. Panowie, nie wiedząc, co chciał powiedzieć, patrzyli zdziwieni, lecz ojciec zmienił odrazu przedmiot rozmowy.

Pani z Albenreuthu pochyliła smutnie głowę. Rozumiała męża, wiedziała, że przyszedł mu znowu na myśl termin, oznaczony przez nieszczęsnego górala. O gdybyż fatalny ów miesiąc raz przecie minął!..

Pewnego dnia panowie wrócili z polowania później, niż zwykle, bo nad wieczorem dopiero, ale za to ze świetniejszą, niż kiedykolwiek zdobyczą. Na podwórzu zamkowem leżał ubity niedźwiedź i kilka jeleni. Wesołoż i gwarnie było na pokojach pańskich! Z rzęsiście oświetlonych okien pierwszego i drugiego piętra szły blaski we wczesną ciemność nocy listopadowej. Po całodziennem ściganiu zwierza w głębi lasów bezbrzeżnych, sala jadalna wydawała się myśliwym nadzwyczaj miłą i przytulną. Na kominie płonął wesoły ogień, lecz huk i strzelanie smolnego drzewa głuszyła ożywiona rozmowa gości, bliższych i dalszych sąsiadów hrabiego. Całe towarzystwo otaczało stół, uginający się pod wspaniałą zastawą. Miejsce honorowe zajmowała pani zamku, obok niej, naprzeciw okna, które wychodziło na wspinający się nad nieszczęsnym Ujazdem, Hradek, — siedział Lamminger. Korzenny zapach potraw, łechtał powonienie biesiadników, a puhary brzęczały tak mile dla ucha! Szczęk ich rozlegał się nawet wtedy, gdy sprzątnięto ze stołu półmiski i talerze. Złote i czerwone wino nie przestawało perlić się ani na chwilę w kryształowych czarach: dzielni myśliwi dzielnie umieli pić!

Rozmowa stawała się coraz gwarniejszą, a wybuchy śmiechu częstszemi. Pan z Albenreuthu nie ustępował gościom w wesołości i ożywieniu. Nie gardził też winem, do którego w ostatnich czasach szczególnego nabrał upodobania. Mówiono przeważnie o łowach, o drobnych wypadkach dnia, o szczęściu lub niepowodzeniu myśliwych.

— Ależ dzielnych naganiaczy macie tu u siebie, panie hrabio! — ozwał się jeden z obcych gości, z młodą parą przybyły. Lamminger, który wychylał właśnie puhar czerwonego wina, zaśmiał się tryumfująco.

— Dzielni, zgoda, lecz i hardzi — mówił, zwracając się do gościa. — Musiałem ich ćwiczyć pilnie i nie mało się namozolić, nim jaśnie wielmożni Chodowie raczyli przywyknąć...

— A więc to byli ci sami Chodowie? Ci, co to... — pytał młody hrabia.

— A tak: ci buntownicy!... Pan starosta mógłby wam opowiedzieć najlepiej, ile kompanji wojska trzeba było zmobilizować, aby ich zmódz...

Hrabina słuchała tej rozmowy z niepokojem, widząc, że mąż, rozgrzany winem, zapalał się pod jej wpływem coraz bardziej.

Ba! toć przecie i ja sam niepewny jestem dotąd swego losu — ciągnął dalej z ironją i zaniósł się nagłym śmiechem. Nie patrzcie na mnie z takiem zdziwieniem, panie hrabio! Wszak wyznaczono mi termin śmierci — przed upływem roku... Ten ich przywódca, Kozina, wyznaczył... Oh, ta zaciętość, ten upór chłopski! Stoi już na szubienicy...

Hrabina, widząc nabiegłe żyły na czole męża, dotknęła zlekka jego ramienia, prosząc, aby się opamiętał, aby dał spokój, lecz ów, mówił dalej, unosząc się coraz bardziej:

—...Stryczek ma już na szyi, a pomimo to waży się wzywać mię na sąd boży... O Kozino, fałszywy proroku, — widzisz, rok mija, tyś w grobie, a ja wciąż tu...

Nagle umilkł i runął na krzesło. Goście porwali się z krzykiem od stołu i rzucili ku gospodarzowi, który leżał, bez ruchu, przegięty na czerwonej poręczy fotelu.

Oczy miał otwarte, źrenice rozszerzone... Kilka westchnień głębokich podniosło pierś, potem chrapanie zagrało w gardle... trwało to jednak krótko. Nim gości dobiegli, wszystko umilkło... Lamminger nie żył...

Nadaremnie starano się go trzeźwić, nadaremnie kobiety lamentowały i płakały, nadaremnie posłano do miasta po lekarza... Terhanowski dziedzic odszedł tam, dokąd Kozina go był wezwał...

I to właśnie tajemnicze, nagłe odejście, grozą przejmowało obecnych...

Zawezwany doktor stwierdził jeno, co goście wpierw już mówili sobie szeptem:

— Nie ma ratunku. — Apopleksja...

Tak, apopleksja, — wszyscy jednak mieli na myśli opowiadanie nieboszczyka w chwili zgonu i odchodzili do swoich komnat z przerażeniem w sercu.

Nagle przerwana uczta umilkła na zamku, światła pogasły we wspaniałych salach, i tylko dwa okna na piętrze zajaśniały blaskiem gromnic, które otoczyły wieńcem żółtawych płomyków zwłoki szlachetnie urodzonego pana z Albenreuthu. A w przedpokoju stary Piotr, nieprzytomny prawie z przerażenia, szeptał, składając ręce jakby do modlitwy:

— Sąd Boży! Sąd Boży!

Zrana, gdy stary Przybek wysunął się z chałupy, wspierając o ciupagę, Iskra Rzehurzek jął wołać nań już zdaleka. A wpadłszy po chwili bez tchu na podwórze, krzyknął wielkim głosem:

— Lomikar pomarł!

Starzec słuchał z zapartym oddechem urywanej opowieści o nagłym zgonie Lomikara w chwili właśnie, gdy prześladowca Chodów urągał cieniom Koziny, zaczem wzniósł obie ręce ku niebu.

— Jest jeszcze sprawiedliwość, jest Bóg! — zawołał wzruszony. — Teraz mi lubo będzie umrzeć.

A w domu żałoby, u Kozinów, Hanka i stara matka Jana zalewały się łzami... Wieść o tragicznej śmierci Lammingera leciała niby jaskółka chybka, po ziemi chodzkiej, dalej i dalej, witana wszędzie radością, rzewnem wspomnieniem o męczenniku Janie i kornem dla wyroków bożych uwielbieniem.

Żywa wyobraźnia ludu przetworzyła wnet prawdę w pełną grozy legendę. Opowiadano, jako w chwili właśnie, gdy Lamminger począł bluźnić, zahuczała nagła burza, okna i podwoje zamkowe rozwarły się z łoskotem i brzękiem, a do sali jadalnej wkroczyła blada mara i przeszła przez ciżbę rozstępujących się, osłupiałych gości...

Zwłoki pana z Albenreuthu spoczęły w klenczańskim kościółku, a złorzeczenia Chodów towarzyszyły im do grobu. Gdy zabrzmiał w powietrzu żałobny głos dzwonów pogrzebowych, stary Szerłowski gościł właśnie w Ujezdzie, u syna, który po ożenieniu się z Maryną, objął był gospodarstwo Przybków. Owoż były wójt poczynowiecki — po rebelji złożono go bowiem z urzędu — stojąc w towarzystwie Przybka i innych sąsiadów na wzgórzu, panującem nad okolicą, wyciągnął rękę w kierunku Kleńcza i rzekł uroczyście:

— Kozina zwyciężył i my z nim! Bo i na cóż się teraz zdały temu łotrowi wszelakie dobra ziemskie?...

Szlachetna pani z Albenreuthu opuściła wnet po pogrzebie Terhanów, aby już nigdy nie wrócić na zamek, z którym wiązały się dla niej wspomnienia tak okropne. Jakoż przed upływem roku sprzedała całą posiadłość, wraz z Kętami i Ryzemberkiem.

W żałobnej chacie Kozinów promień wesela błysnął wówczas dopiero, gdy dzieci dorosły i Pawełek objął rządy nad gospodarstwem.

Ani on jednak, ani nikt inny nie odważył się już upomnieć o dawne przywileje, o wolność utraconą... Po ostatnim krwawym wysiłku zapanowało w górach naprawdę „perpetuum silentium“ i szedł smętek po ziemi chodzkiej, jakkolwiek nie działy się już na niej takie gwałty, jak za Lammingera.

Ze starej sławy ojców pozostał jeno blask wspomnień i przyświecał Chodom i krzepił ich w ponurej dobie, gdy cały lud wiejski jęczał w kajdanach poddaństwa, tonął w ciemnościach wzgardy i poniżenia..

Nie zapomniano też i o Janie Sladkim Kozinie.

Z pokolenia w pokolenie szła o nim opowieść i powtarzać ją będą starzy młodym, dopóki w pięknym kraju poszumawskim, u Domażlic, na ziemi, dla narodu czeskiego pamiętnej, a hojnie krwią Chodów zroszonej, żyć będą potomkowie Psugłowców, lud krzepki, dorodny i dzielny — strojom, obyczajom i mowie praojców wierny...

* * *

Zwiedzając tamte strony, zawadziłem też o głośny Ujazd i zajrzałem do zagrody Koziny. Powitała mię na progu sędziwa, dobroduszna staruszka. W rozmowie z nią wymieniłem imię Jana Koziny, zapytując, co wie o jego losach?

Podniosła na mnie oczy, w których błysnęła nieufność i odrzekła jakby z wahaniem:

— Co bych ta wiedziała!.. Dyć to jegomość, — ksiądz dziekan, ma skrony tego pisma. Ja wiem ino telo, że Kozina był stracony niewinnie i że jest święty...

Tłumacz. z upoważnienia Autora
M. Wysłouchowa.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5